



fabryka słów

ADAM PRZECHRZTA



**DEMONY
WOJNY**

CZĘŚĆ 2

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Cykl wojenny Adama Przechrzty

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Posłowie

Adam Przechrzta

Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się

Karta redakcyjna

Okładka

ADAM PRZECHRZTA



DEMONY WŹJNY

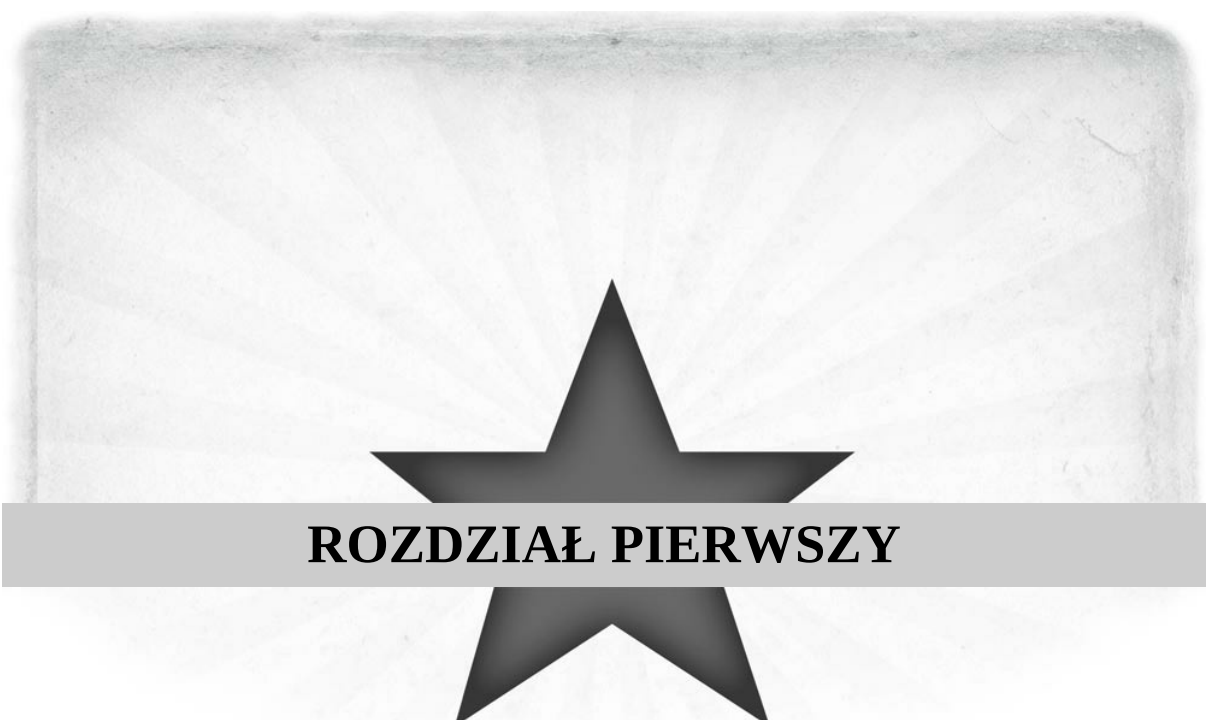
CZĘŚĆ 2

fabryka słów®

Lublin 2014

Cykl wojenny Adama Przechrztu:

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zoddali dochodziły odgłosy podobne do pomruków nadciągającej burzy; przysłuchawszy się, można było wyróżnić kilka tonów: od basowego grzmotu ciężkich dział po suchy łomot artylerii przeciwlotniczej. Mimo zacinającego w twarz mokrego śniegu ulice pełne były spieszących dokądś ludzi. Tylko taka pogoda gwarantowała względne bezpieczeństwo: przy dobrej widoczności nad miastem panowały samoloty z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Festung Breslau spływała krwią w żelaznych kleszczach najpotężniejszej armii świata.

Przeszedłem przez ulicę, skręciłem w Salzstrasse, mijając grupę zmęczonych nastolatków – obowiązek pracy dotyczył każdego powyżej dwunastego roku życia – i kolumnę żołnierzy na rowerach. Jak zauważyłem, kilka truppenfahrradów posiadało specjalne mocowania na panzerfausty. Cóż, czego jak czego, ale broni przeciwpancernej w Breslau nie brakowało. Początkowo nasi próbowali wdrzeć się do miasta, wykorzystując w walkach ulicznych czołgi z niewielką tylko osłoną piechoty. Zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Bywa, każdy popełnia błędy, grunt, żeby ich nie powtarzać...

Znienacka zawyły syreny i spod ciemnych, nawisłych chmur wyskoczyły dwa szturmowiki. Wbiegłem w najbliższą bramę, słysząc narastający ryk silników. A jednak kontynuują naloty mimo kiepskiej pogody, pomyślałem z satysfakcją. Obie maszyny najwyraźniej pozbyły się już bomb i zaatakowały z lotu nurkowego, zasypując ulicę gradem pocisków. Widać piloci po zbombardowaniu wyznaczonych celów postanowili jeszcze zapolować. Zuchy! Tak trzymać!

Terkotowi karabinów SzKAS zawtórował krzyk przechodniów. Parę osób schroniło się w bramach, ale większość uciekała w panice przed siebie. Nie ubiegli

daleko: nie prześcigniesz samolotu, nie ujdiesz przed kulą. Litera S w skrócie SzKAS oznacza *skorostrielnyj*. Dziś na Salzstrasse wielu przekonało się, że słowo „szybkostrzelny” odpowiada prawdzie. Tyle że nikomu już o tym nie opowiedzą... Beznamiętnie obserwowałem masakrę: przeznaczone do zwalczania opancerzonych celów pociski rozrywały ludzkie ciała jak pazury niewidzialnej bestii, wyrzucając w powietrze strzępy tkanek. Na biały niczym nutowy papier śnieg spadły ciężkie szkarłatne krople, zapisując symfonię umierania. Stara, ubrana w liche paletko kobieta opadła na kolana i ostatkiem sił odepchnęła od siebie wyglądającą na góra dziesięć lat dziewczynkę. Seria z karabinu w ułamku sekundy zamieniła dziecko w okrwawiony ochłap mięsa. Mimo jazgotu kaemów usłyszałem rozpaczliwy, nieludzki skowyt. Kobieta podniosła się na nogi i kręciła wokół jak bąk, nie bacząc na siekące bruk pociski. Jeden ze szturmowików odleciał, drugi nabrał wysokości i wolno, z leniwą gracją położył się na skrzydło, zawracając, by kontynuować łowy.

Z pobliskiej kamienicy wyprysnął chłopak w mundurze Hitlerjugend, podbiegł do staruszki. Ta wyrwała mu się i szeroko rozkładając ramiona, ruszyła naprzeciwko pikującej śmierci. Zakląłem, rozpoznawszy dzieciaka: Horst, wnuk Zygfrieda von Bredowa, określanego w aktach GRU jako „Archiwista”. Cóż, trudno o lepszą okazję... Błyskawicznie dopadłem podrostka, ogłuszyłem, po czym powlokłem bezwładne ciało w stronę bramy. Zdążyłem tylko dlatego, że uwagę pilota przyciągnęła oszalała kobieta – krótkie warknięcie kaemów i jej głowa rozprysła się niczym dojrzały melon. Jakimś szóstym zmysłem wyczułem, że to już koniec, i rzeczywiście: samolot skrył się w chmurach, wokół rozległy się jęki rannych i wołania o pomoc.

Z głuchym stęknieniem dźwignąłem chłopaka i ruszyłem w stronę Odry – tuż przy rzece, w budynku należącym dawniej do Arbeitsamtu, działał szpital polowy. Niemal natychmiast na ulicy pojawiła się grupa ratowników, zaganiając do pomocy wszystkich ocalałych przechodniów. Mnie nikt nie zaczepiał: wyglądało, jakbym zajmował się ofiarą ostrzału. A może chodziło o mundur? Major Aleksander Roth, oficer do specjalnych poruczeń komendanta miasta, generała Hansa von Ahlfena, do usług...

Chłopak nie był specjalnie ciężki, ważył pewnie niewiele ponad sześćdziesiąt kilogramów, ale kiedy tylko się ocknął, bez ceregieli postawiłem go na nogi. Gdyby nie był synem Ingi von Bredow, z przyjemnością pozostawiłbym go na ulicy...

– Uderzył mnie pan, majorze! – odezwał się z pretensją w głosie. – Gdyby nie to, uratowałbym *Frau Willmer*, ja...

– Nikogo byś nie uratował, smarkaczu – odburknąłem. – Ona chciała zginąć.

Widać było wyraźnie, że nie zamierza ustąpić, ale nieoczekiwanie zgiął się wpół, zwymiotował.

– Śnieg – powiedziałem. – Natrzyj twarz śniegiem.

Chłopak nabrał białego puchu trzęsącymi się dłońmi, niezdarnie roztarł po

twarzy.

– Wyciągnął mnie pan spod ostrzału – wymamrotał po chwili. – Dziękuję...

Nie odpowiedziałem.

– Horst von Bredow – przedstawił się, stając na baczność.

– Znam cię – mruknąłem. – Jesteśmy sąsiadami.

– To pan wprowadził się do mieszkania Steffensenów?

Skinąłem głową. Przed zamknięciem okrażenia ewakuowano setki tysięcy cywilów i wiele mieszkań stało pustych. Kiedy pojawiłem się w mieście, poprosiłem o zakwaterowanie w kamienicy, w której żyła rodzina von Bredow. Moje życzenie spełniono natychmiast i nie dopytując o nic: dowództwo Festung Breslau miało ważniejsze problemy.

Ponownie wziąłem go pod ramię.

– Idziemy! – poleciłem. – Musi obejrzeć cię jakiś lekarz.

– Nic mi nie jest – odparł bez przekonania.

– Możesz mieć wstrząs mózgu – stwierdziłem szorstko. – Lepiej, jeśli dzień lub dwa posiedzisz w domu, a do tego konieczne jest zaświadczenie lekarza.

Odpowiedziało mi milczenie, nie było o czym gadać: za uchylenie się od walki czy pracy groziła kara śmierci.

Szpital powitał nas smrodem środków antyseptycznych i jękami rannych, od czasu do czasu rozlegało się zduszone, przeciągłe wycie – widać zaczynało brakować anestetyków.

– Lekarza! – zawołałem.

Po chwili wyszła do nas niewysoka, korpulentna kobieta o ziemistej cerze i zmęczonych oczach.

– Co się stało? – spytała.

– Atak lotniczy na Salzstrasse – wyjaśniłem krótko. – Zaraz zaczną przywozić rannych.

– A ten tutaj? – Wskazała chłopaka.

– Nic specjalnego, podejrzenie wstrząsu mózgu.

– Potrzebne wam zaświadczenie? – westchnęła.

– Na dzień albo dwa – przytaknąłem.

Kobieta z widoczną wprawą zbadała podrostka, po czym opatrzyła mu potężnego siniaka na skroni. Cóż, nie byłem zbyt delikatny...

– Dwa dni – zawyrokowała, pisząc coś na niewielkim karteluszk.

– Dziękuję – mruknąłem.

– Krewny? – rzuciła.

– Sąsiad.

– Odprowadzi go pan do domu? Niby nic mu nie jest, ale przeżył silny szok, jak padnie gdzieś po drodze...

– Odprowadzę – obiecałem.

– Mógłby pan też wspomnieć w sztabie o naszych problemach? – poprosiła.

– Ja?

– A jakże! Doktor Francke tydzień temu uzupełniał pańską kartę zdrowia. Pamięta pan?

– Owszem, i co z tego?

– Polecenie i dokumenty przyszły wprost ze sztabu generała von Ahlfena. Wraz z potężną partią plotek... Rozumie pan, brakuje nam wszystkiego. Czasami dostajemy co prawda zaopatrzenie z powietrza, ale to za mało. Jeszcze miesiąc czy dwa i wrócimy do ziołolecznictwa.

– Zobaczę, co da się zrobić, ale proszę nie liczyć na wiele.

– Przynajmniej jeden, który nie obiecuje cudów – zauważyła cynicznie.

Zerknąłem kątem oka na młodego Horsta, ale dzieciak najwyraźniej nie wychwytał aluzji. Może i dobrze, bo pewnie poleciałby z donosem na Gestapo. Choć w sumie co mnie to obchodzi? Niechby niemiecka bezpieka udzieliła lekcji pani doktor. Od razu przestałaby się martwić brakiem leków...

– Dziękuję pani – zakończyłem rozmowę.

Kobieta skinęła głową i zaczęła zwoływać personel. Kiedy wychodziliśmy, nadjechał pierwszy samochód z rannymi. To była jedna z kilku rzeczy, których moglibyśmy uczyć się u Niemców: organizacja. Nie wątpię, że mimo kiepskiej sytuacji wszystkie instytucje staną na wysokości zadania: będą leczyć, ratować i walczyć. Dopóki się da. Miałem nadzieję, że nie potrwa to długo...



Nie poznałem jej, kiedy stanęła w drzwiach; *wojennaja razwiedka* dysponowała jedynie czarno-białą fotografią sprzed dziesięciu lat. Czas okazał się dla niej łaskawy – blada, wymoczkowata dziewczyna zamieniła się w dojrzałą, świadomą swego uroku kobietę. Kształtne piersi rozpięły materiał szarej domowej sukni, wąska talia, smukłe łydki i rozburzone w nieładzie blond włosy czyniły ją co najmniej pociągającą. Podobnie jak twarz o regularnych, choć o dziwo, bardziej słowiańskich niż germańskich rysach. Efekt psuły tylko błękitne, zimne jak dwie kostki lodu oczy i skrzywione w aroganckim wyrazie usta. Cóż, Inga Matylda Judyta von Bredow należała do arystokracji...

Przedstawiłem się krótko: do tej pory nie miałem okazji poznać sąsiadów. Odpowiedziała niemal niezauważalnym skinieniem głowy.

– Horst powinien przez dwa dni pozostać w domu – poinformowałem, podając zaświadczenie od lekarza. – Badanie wykluczyło wstrząs mózgu, ale lepiej nie ryzykować.

– Co się stało?! Horst?!

Kiedy patrzyła na syna, jej oczy zmieniły barwę, teraz przypominały bezchmurne niebo w słoneczny dzień.

– Pan major pomógł mi...

– Chłopak zasłabł na ulicy, odprowadziłem go do domu – przerwałem mu

bezceremonialnie.

– Może wstąpi pan na chwilkę? – zaproponowała.

Przez otwarte drzwi doszedł mnie zapach kiełbasy i kiszzonej kapusty. Niby nic nadzwyczajnego, ale ostatnio żywiłem się niemal wyłącznie zimnymi konserwami, nie miałem czasu na korzystanie z garnizonowej kuchni. Zaburczało mi w brzuchu, z trudem przełknąłem ślinę. Od czasów Leningradu wystarczyło, że opuściłem posiłek, a organizm reagował natychmiast wzmożonym apetytem, przechodzącym niekiedy wręcz w głodowe spazmy.

– Dziękuję – wymówiłem się grzecznie. – Może innym razem.

Wchodząc po stopniach, czułem na plecach jej wzrok. Miałem nadzieję, że moje zachowanie nie wzbudziło podejrzeń, w aktach *Frau von Bredow* widniała odrębna adnotacja: „Uwaga, inteligentna!”. W sumie nic dziwnego, jeśli wdała się w ojca...

Woda była ledwo ciepła, ale nie jestem wybredny – bywało, że myłem się i w zimnej. Na grzanie nie miałem siły ani ochoty. Nie dziś. Od momentu przybycia do miasta nie udało mi się przespać spokojnie nawet jednej nocy, bez przerwy kursowałem między sztabem a linią frontu. Dowódca Festung Breslau uczynił mnie odpowiedzialnym za rozpoznanie sił przeciwnika. Legenda opracowana przez GRU zadziałała bez pudła. Być może nawet zbyt dobrze... Według spreparowanych przez naszych specjalistów dokumentów w przeszłości byłem oficerem Abwehry, który zakończył błyskotliwą karierę tuż przed przejęciem kontroli nad niemieckim wywiadem wojskowym przez SS-Brigadeführera Waltera Schellenberga. Zakończył, rzecz jasna, wyłącznie z przyczyn medycznych... Historyjka była bardzo subtelnym sygnałem, że raczej nie należę do wielbicieli SS. Papiery trafiły wszędzie, gdzie trzeba, łącznie z główną siedzibą RSHA, a bogata kolekcja blizn, jaką dysponowałem, mogła potwierdzić każde kłamstwo, które znalazło się w mojej karcie zdrowia. Ta ostatnia zawierała też stwierdzenie, że w związku ze skuteczną terapią dawnych kontuzji jestem znowu gotowy do służby. W Breslau brakowało oficerów, nic dziwnego, że generał von Ahlfen zainteresował się moją skromną osobą. Największe wrażenie zrobiła na nim lista moich rzekomych osiągnięć z czasów pracy w Abwehrze, potwierdzona przez kilku prominentnych pracowników wywiadu. Tamci nie mieli wyboru: ich rodziny znajdowały się już w rękach *wojennoj razwiedki*.

Ogoliłem się pośpiesznie, użyłem wody kolońskiej i narzuciwszy elegancki jedwabny szlafrok, zerknąłem w lustro. Trzeba przyznać, że nie odbiegałem specjalnie od ideału aryjskiej urody: ciemnobłond włosy, szare oczy, mocno zarysowany podbródek, skąpe owłosienie ciała – kolejny plus w oczach hitlerowskich specjalistów wyczulonych na „małpie futro”. To była przyczyna, dla której wybrano mnie do tej misji. Jedna z przyczyn.

Udałem się do kuchni, gdzie po krótkich poszukiwaniach znalazłem czajnik i kilka talerzy – nie orientowałem się jeszcze zbyt dobrze w gospodarstwie

Steffensenów. Swoją drogą, dziwne nazwisko, z pewnością nie niemieckie. Może to jacyś przybysze z Danii?

Zapaliłem świecę, pokrojoną w kawałki konserwę starannie ułożyłem na porcelanowym talerzu, otworzyłem paczkę razowego chleba. Normalnie nie zadawałbym sobie tyle trudu, aby zjeść, nie ma co ukrywać, dość banalny posiłek, ale musiałem odgrywać swoją rolę. Niemieccy oficerowie nie używają gazety jako obrusu i przy jedzeniu wolą posługiwać się sztuccami niż bagnetem...

Wybór alkoholi był nienadzwyczajny: wódka, pozostawiony przez Steffensenów orzechowy likier i ukraińskie czerwone wino Massandra. Po namyśle zdecydowałem się na wino. Wolałbym co prawda łyknąć czegoś mocniejszego, ale jak uprzedziła mnie Lidia Zosimowna Siwers, lepiej, żebym trzymał na wodzy swoje, jak się wyraziła: plebejskie gusta. *Niczego*, dam radę...

Posiłek przerwał mi dźwięk dzwonka – najwyraźniej ktoś pilnie potrzebował majora Rotha. Miałem nadzieję, że to nie goniec ze sztabu, byłem śmiertelnie zmęczony. Otarłem usta serwetką i poczłapałem do drzwi.

– Czym mogę pani służyć? – spytałem z nieudawanym znużeniem.

Musiałem wypaść przekonująco, bo na twarzy Ingi von Bredow odmalowało się zmieszanie.

– Mogę wejść?

– Oczywiście, proszę.

Dopiero teraz zauważyłem, że kobieta dzwiga owinięty kocem garnek. Bez słowa podsunąłem jej krzesło, zaprosiłem gestem do stołu.

– Pomyślałam, że nieco wzbogacę pańskie menu – powiedziała z ledwie wyczuwalną nutą ironii.

Uniosła pokrywkę, zapachniało pieczoną kielbasą.

– Oddaje mi pani swój obiad?

Nie zaprzeczyła, oboje wiedzieliśmy, że choć w Breslau nie ma jeszcze głodu, nikt nie marnotrawi jedzenia. Jeśli ktoś ma trzyosobową rodzinę, to nie szykuje czterech porcji.

– To najmniejsze, co mogę zrobić – odparła, spuszczać wzrok. – Gdyby nie pan... Horst opowiedział mi o wszystkim. Chciałam...

Przerwałem jej ospałym gestem, nie byłem w nastroju do wysłuchiwania podziękowań.

– Dajmy temu spokój – poprosiłem. – Co do obiadu, chętnie się poczęstuję, ale tylko wtedy, gdy zgodzi się pani zjeść go ze mną. Tego wymaga elementarna przyzwoitość – dodałem, widząc, że patrzy na mnie spod namarszczonych brwi.

Milczała przez chwilę, wiedziałem, o co jej chodzi: wspólny posiłek to dopuszczenie do pewnej poufałości, a wyglądało, że moja sąsiadka jest pod tym względem wyjątkowo ostrożna. To akurat zrozumiałe; w przepełnionym pobudzonymi wojaczką samcami mieście atrakcyjna kobieta narażona była na rozliczne zaczepki.

– Chce się pani głodzić dla idei? – rzuciłem kpiąco. – Zapewniam, że nie

potraktuję tego jako randki...

Myślałem, że przeciągnąłem strunę, jej oczy znowu stały się chłodne, ale po chwili uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

– Trzymam pana za słowo – oznajmiła.

– W takim razie postaram się znaleźć dodatkowe nakrycie.

– Nie, nie! – powstrzymała mnie stanowczo. – Proszę siedzieć. Zrobię to szybciej niż pan, wiem, gdzie co jest, przyjaźniłam się z Anną Steffensen – dodała wyjaśniająco.

Rzeczywiście, zanim zdążyłem rozlać wino, była już z powrotem. Kielbasę i kapustę podzieliła na pół, choć wszystkie ziemniaki dostały się mnie.

– Idą w biodra – stwierdziła rzeczowo.

Wzruszyłem ramionami i milcząc, uniosłem kieliszek: w obłęzonym Breslau nie było powodów dla gromkich toastów. Przez jakiś czas nie odzywaliśmy się do siebie, oboje byliśmy zajęci posiłkiem.

– Pyszności – powiedziałem wreszcie, sięgając ponownie po butelkę.

– Znakomite wino – odwzajemniła komplement Inga von Bredow.

Chyba naprawdę jej smakowało, delektowała się alkoholem z wyraźną przyjemnością.

– Skąd nazwa „Massandra”?

– To winnice na Krymie. Kompleks podziemnych piwnic założono tam jeszcze w dziewiętnastym wieku. Projektem kierował książę Golicyn – wyjaśniłem.

– Trunek nie pochodzi chyba z naszych zapasów? Podobnie jak i konserwa?

– Istotnie – potwierdziłem, nie dając żadnych objaśnień.

Ciekawe, czy przynęta zadziała?

– Pan był po tamtej stronie, prawda?

Zadziałała...

– Rozumie pani, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie?

Zagryzła wargi, widać było, że jest w rozterce. Wiedziałem, co ją interesuje: czy mamy szansę się obronić? Z drugiej strony byłem dla niej niewiadomą – a nuż doniosę Gestapo? Gdyby oskarżono ją o defetyzm, nie pomógłby jej nawet ojciec. Wątpiłem zresztą, aby jego notowania stały zbyt wysoko: Zygfryd von Bredow nigdy nie był specjalnym entuzjastą idei narodowosocjalistycznych, kierowanie jednym z najtajniejszych programów Trzeciej Rzeszy zaproponowano mu wyłącznie ze względu na posiadaną wiedzę i umiejętności.

– Nie chodzi mi o tajemnice wojskowe, chciałabym jedynie poznać pańską opinię na temat naszej – zawahała się – sytuacji.

Wstałem, ująłem ją pod rękę i bez słowa podprowadziłem do okna. Kiedy zerknęła na mnie niespokojnie, w milczeniu wskazałem napis na ścianie przeciwległego budynku: KAPITULIEREN? NEIN!

Od razu pojęła, o co mi chodzi, może rzeczywiście odziedziczyła po ojcu nie tylko nazwisko?

– Przepraszam – mruknęła, jak się wydawało, z autentycznym poczuciem winy.

– Nie powinnam w ogóle poruszać tego tematu. I tak zrobił pan dla mnie... dla mojej rodziny więcej niż ktokolwiek inny. Ale martwię się, Horst pomaga w obronie miasta wraz z kolegami z Hitlerjugend, a moja córka ma zaledwie pięć lat. Co z nimi będzie? Co nas czeka? Ja...

Uciszyłem Inge, kładąc palec na ustach. Zamilkła posłusznie.

– Może porozmawiamy jutro? – zaproponowałem. – Kiedy wrócę ze sztabu.

I znowu wychwyciłem w jej oczach błysk zrozumienia: rozmowa na temat obłączenia była ryzykowna także i dla mnie. Zapewne spodziewała się, że sprawdzę, kim jest. Nie mogła wiedzieć, że znam jej życiorys na pamięć...

– Oczywiście – przytaknęła z wdzięcznością. – Teraz proszę odpocząć, widzę, że ledwo trzyma się pan na nogach, sama sprzątnę naczynia i zamknę drzwi.

– Dziękuję – wymamrotałem. – Klucz jest...

– Mam własny – poinformowała mnie z lekkim zakłopotaniem. – Anna prosiła mnie, żebym przypilnowała jej mieszkania. I proszę się nie obawiać, nie wykorzystam go wbrew pańskiej woli... – urwała, uświadomiwszy sobie dwuznaczność tego, co powiedziała.

– Gdyby nawet, postaram się przyjąć to z godnością – zapewniłem z kamiennym wyrazem twarzy.

Przez moment irytacja – w końcu poznaliśmy się ledwo godzinę temu – walczyła w niej z rozbawieniem. Ostatecznie to drugie uczucie zwyciężyło. Kiedy otwierałem drzwi sypialni, słyszałem za plecami szcęk naczyń i cichy śmiech Ingi von Bredow.



Zbudził mnie grzmot dział i wycie syren, odgłosy, którymi zaczynał się niemal każdy poranek w Breslau. Pewnie byłem jedyną osobą w mieście wsłuchującą się w nie z radością: za bombardowaną Moskwę, za Leningrad, za spalone wioski i umierające z głodu dzieci! Ognia i jeszcze raz ognia!

Wytaszczyłem spod łóżka ważącą kilkadziesiąt kilogramów kulolaskę – widocznie ktoś w rodzinie Steffensenów zajmował się sportem – i rozpocząłem poranną gimnastykę. Zerknąłem na zegar, dochodziła szósta rano, przespałem prawie dwanaście godzin. Nic dziwnego, że czułem się wypoczęty. Bogiem a prawdą, od czasów Leningradu rzadko kiedy miewałem problemy z kondycją, mimo nieregularnego i, nie da się ukryć, dość ryzykownego trybu życia. Może w teoriach Doskonałych było jednak jakieś racjonalne sedno? Skończywszy trening, pomaszerowałem do łazienki. Otworzyłem drzwi i zatrzymałem się jak rażony gromem: na przeciągniętych nad wanną sznurkach wisiął mój mundur polowy i bielizna. Wyprane. Zakląłem pod nosem. Niemożliwe przecież, żeby moja sąsiadka... A jednak! W salonie odkryłem kilka wyprasowanych koszul, na stole stał zakutany w koc garnek i termos. Wyjąłem korek, powąchałem: kawa.

Prawdziwa kawa, żadne tam palone żołędzie czy cykoria. Co jest, do cholery?! Być może hrabianka von Bredow chciała mi wyrazić wdzięczność za uratowanie syna, ale od tego do prania gaci obcego faceta daleka droga...

Dokonawszy pospiesznych ablucji, wróciłem do stołu. Nie przepadam za kawą, ale szkoda marnować ciepły posiłek. Teraz to rzadkość, nie tylko na froncie... W garnku czekała na mnie owsianka na prawdziwym mleku, obok na dnie słoika odrobina sztucznego miodu. No, no... Nie ulegało wątpliwości, że *Frau Inga* czegoś ode mnie chce. Tylko czego? Profesjonalnej opinii na temat obłożenia? Nie, tu musi chodzić o coś więcej... Bo założyłbym się, że moja sąsiadka ofiarowała mi, co miała najlepszego: w sprzedaży były tylko erzace kawy, a mleka, nawet w proszku, brakowało i dla dzieci... To było żarcie grubo powyżej standardu. No nic, prędzej czy później dowiem się, w czym rzecz, a biorąc pod uwagę sytuację, raczej prędzej niż później. Gdyby sprawa nie była pilna, *Frau Inga* nie działałaby tak... energicznie.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu: oficer dyżurny garnizonu, czas się zbierać. Brudne naczynia zostawiłem na stole, zapewne zajmie się nimi pani von Bredow. Podszedłem do lustra, skontrolowałem mundur. Na oko wszystko w porządku: Krzyż Rycerski, srebrna Odznaka za Rany, Szturmowa Odznaka Piechoty...

Z kontemplacji własnej osoby wyrwało mnie pukanie: ktoś dobijał się do drzwi, nie oszczędzając dłoni. Na pewno nie kobieca ręka, choć i nie Gestapo, ci raczej wałą pięścią, tak samo jak nasza bezpieka... Na wszelki wypadek poluzowałem rzemień kabury. Otworzyłem, w progu stanął żołnierz w mundurze spadochroniarza. No tak, moja asysta... Kiedy przedstawiłem w sztabie plan szeregu wypadów za linię frontu, było oczywiste, że przyda mi się wsparcie: ktoś musiał mnie ubezpieczać od niemieckiej strony i udzielić pomocy w razie kłopotów z Rosjanami. Stąd *Fallschirmjäger*.

– Sierżant Becker – przedstawił się krótko przybyły.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie bez słowa. Nie wszyscy z przerzuconych niedawno do Breslau spadochroniarzy byli weteranami, część przeszła chrzest bojowy dopiero w styczniu, w czasie walk na Pomorzu. Tymczasem ja potrzebowałem najlepszych, nie miałem zamiaru dać się zabić na parę tygodni przed końcem wojny. Sam sierżant wyglądał obiecująco: krępy, o rzucającej się w oczy sprawności fizycznej, z paskudną wąską blizną na ogorzałej twarzy. Widać, że nie pierwszy dzień w mundurze.

– Proszę wejść. – Uczyniłem gest w kierunku mieszkania. – Jak ekipa?

– Zebrałem coś w rodzaju plutonu – poinformował, obrzucając łakomym spojrzeniem butelkę wódki. – Zgodnie z rozkazami.

– Czestujcie się – mruknąłem. – I dlaczego „coś w rodzaju”?

– Naprawdę mogę? – upewnił się.

Z westchnieniem nalałem mu pół szklanki, podsunąłem konserwę i otwieracz.

– Możesz – burknąłem, z premedytacją przechodząc na ty.

Nie miałem czasu na długie podchody, a potrzebna mi była akceptacja sierżanta, wiedziałem, że sam nie poradzę sobie ze zbieraniną, jaką zapewne stanowił „mój” pluton.

– Mamy dwudziestu ludzi, a więc w zasadzie tylko dwie drużyny – wyjaśnił pośpiesznie, widząc, jak sięgam po płaszcz.

Także wódka i konserwa zniknęły w zadziwiająco szybkim tempie...

– Jak z doświadczeniem?

– Wszyscy to weterani – zapewnił. – Kreta, Norwegia, Rosja...

– Co teraz robią?

– Czekają na rozkazy. – Wzruszył ramionami. – Umieściłem ich w koszarach, w osobnym budynku z salą treningową.

– Dobrze. W drogę! – poleciłem.

– Co będziemy robić? – zapytał na schodach.

– Później! – Machnąłem niecierpliwie ręką.

Przed domem czekał na nas schwimmwagen w zimowym kamuflażu.

– Mamy jeszcze jakieś pojazdy?

– Tylko opla blitz.

– To w zupełności wystarczy na nasze potrzeby.

– Co będziemy robić? – powtórzył, siadając za kierownicą.

– Chodzi o rekonesans, w zasadzie serię rekonesansów...

– To wariactwo! – wybuchnął. – Mysz się nie prześliznie!

– Jedź! – rozkazałem. – Pogadamy w drodze.

Ruszył posłusznie, ale jego wzrok był bardziej wymowny niż słowa. Najwyraźniej sierżant Becker doszedł do wniosku, że trafił na kretyna chcącego koniecznie zarobić na order jeszcze przed końcem strzelaniny. Rzecz jasna, cudzym kosztem... Roześmiałem się mimo woli: fakt, że nawet żołnierz elitarnej, było nie było, formacji nie miał zamiaru nadmiernie ryzykować, mówił wiele o nastrojach załogi Breslau. Oczywiście robi, co mu każą, ale z pewnością bez nadmiernego entuzjazmu. Nie żeby miało to jakieś wielkie znaczenie: Festung Breslau broniła się jeszcze tylko dlatego, że większość sił Armii Czerwonej skierowano na Berlin. To był priorytet, absolutny priorytet. Wątpiłem, żeby miasto utrzymało się dłużej niż dwa, góra trzy tygodnie, ale nawet gdyby, powracające z głębi Niemiec wojska skruszą obronę niczym skorupkę jajka.

– Jak masz na imię?

– Karl – oburknął, obrzucając mnie niechętnym spojrzeniem.

– Nie martw się, Karl, wy będziecie tylko ubezpieczać, do Ruskich pójdzie kapitan Tichonow.

– Jaki, do licha, Tichonow?!

Sięgnąłem w zanadrze, zademonstrowałem legitymację *wojennej rozвідki*.

– Kapitan *Głównego Rozwiedywatełnego Uprawlenija* Tichonow – powiedziałem.

Sierżant rzucił okiem na zdjęcie, zagryzł wargi.

– Wygłupiłem się, prawda?
– Tylko trochę – zapewniłem z uśmiechem. – Pewnie na twoim miejscu zareagowałbym podobnie. Wariatów nie brakuje...
– Robił pan to już kiedyś, majorze?
– Bywało.
– Nasze zadania?
– Mam zamiar poszwendać się w strefie przyfrontowej, sprawdzić morale i zaopatrzenie żołnierzy, rozlokowanie jednostek i co tam jeszcze da radę. Bez fanatyzmu, nie interesują mnie pośmiertne nagrody... Każdy taki wypad to kilka godzin, nie więcej. Jednak trzeba, żeby ktoś zabezpieczał odcinek, przez który przejdę i wrócę. Rozumiesz, nie chcę, żeby jakiś kretyn z Hitlerjugend czy innego Volkssturmu postrzelił mnie w dupę, no a w razie pościgu ze strony Rosjan będę potrzebował wsparcia.
– Co teraz? Chce pan zerknąć na ekipę?
– To także.
– A co jeszcze?
– Potrenujemy, Karl. Potrenujemy. Oddział musi się zintegrować.
– Dobrze chłaińsko też załatwiłoby sprawę – zauważył.
– Podobnie jak wizyta w burdelu. Niestety, na dzisiaj mamy inne plany...
– Trudno – westchnął z przesadnym żalem. – Może innym razem.
Roześmialiśmy się zgodnie, do koszar dojechaliśmy w przyjaznym milczeniu. Cóż, może sierżant Becker nie pozwolił mnie zabić? Czas pokaże.



Zerknąłem na zegarek – po trwających godzinę walkach na placu boju pozostało trzech zawodników: sierżant Becker, Hartmann – wielkie, ponaddwumetrowe chłopisko, i niski, zwinny facecik nazywany Lisem. Co dziwne, mimo że większość żołnierzy nie znała się bliżej, w grupie błyskawicznie ustaliła się wyraźna, choć mało przejrzysta na pierwszy rzut oka hierarchia. Ot, choćby sposób zwracania się do siebie: do Beckera mówiono „sierżancie” (jeden kapral Pimke używał jego imienia), do Hartmanna i paru innych odzywano się po nazwisku, w odniesieniu do pozostałych stosowano rozmaite, często złośliwe przezwiska.

– Co teraz? – zapytał, ocierając pot z czoła, Becker. – Mam rozłożyć na łopatki tych dwóch matolek?

Żołnierze zareagowali gwizdami i śmiechem: każdy ze zwycięzców walczył w wybranej losowo, siedmioosobowej grupie. Wszyscy przypuszczali, że teraz zmierzą się między sobą. Widać było, że współzawodnictwo ożywiło atmosferę i przełamało pierwsze lody. Dobrze! Pozostawała jeszcze jedna, dużo ważniejsza sprawa: chciałem, żeby zaakceptowano mnie jako dowódcę. Potrzebowałem

prawdziwego, nie tylko formalnego poparcia grupy.

– Nie zgadłeś, Karl, nie będziecie walczyć między sobą.

– To w jaki sposób ustalimy, kto jest najlepszy?

– To proste: wygra ten, kto mnie pokona – powiedziałem, rozpinając mundur.

Początkowo odpowiedziała mi pełna zdumienia cisza, ale już po chwili sala ponownie eksplodowała gwizdami i oklaskami, zaczęto przyjmować zakłady. Trzeba przyznać, że nie oceniano mnie zbyt wysoko, większość stawiała na sierżanta lub Hartmanna.

– Cóż – stwierdził Becker, wychodząc na środek – chyba mamy tu mały problem...

Widziałem, że sierżant przygląda się moim bliznom, w jego wzroku pojawiła się ostrożność. Także wśród żołnierzy rozległy się zduszone szepty, ktoś zaklął, kto inny próbował zmienić stawkę.

Becker zaatakował pierwszy, pchnął mnie, po czym natychmiast pociągnął ku sobie, usiłując wykonać rzut przez biodro. Zabroniłem używania uderzeń i kopnięć, nie miałem zamiaru zdekompletować oddziału jeszcze przed pierwszą akcją...

Gwałtownym skrętem wyzwoliłem ramię z uchwytu, błyskawicznie chwyciłem sierżanta pod brodę, umieściwszy jednocześnie lewą dłoń na czubku jego głowy. Oszczędny, niemal niewidoczny ruch i Karl Becker wyładował na parkiecie. Nie można oprzeć się komuś, kto próbuje skrócić wam kark.

– To było... niespodziewane – przyznał, podnosząc się, Becker.

Żołnierze zawyli urągliwie, nie szczędząc mu dobrych rad i narzekając na poniesione w zakładach straty. Jednak w ich głosach nie wychwyciłem prawdziwego gniewu, przeważało raczej podszyte satysfakcją zdumienie: znaczy nie przydzielono im na dowódcę kompletnego fajtlapy.

– Kto następny? – spytał Becker, kiedy rozmasował sobie kark.

– Hartmann – zdecydowałem z uśmiechem.

Olbrzym natychmiast przyjął pozycję zapaśniczą i zaczął zbliżać się do mnie na ugiętych nogach. Mimo demonstracyjnej pewności siebie nie byłem przekonany co do zwycięstwa w tym pojedynku. Mężczyzna miał ramię jak moje udo, jeśli dostanę się w jego łapy, facet wyrwie mnie jak rzodkiewkę. Albo po prostu wkręci w podłogę...

Przechwyciłem jego rękę, zanim zdążył złapać mnie za ramię, wyłamałem dwa palce. Coś trzasnęło i wielkolud z niedowierzaniem w oczach zwałił się na kolana.

– Przegrałem – oświadczył ze zdumieniem. – Naprawdę przegrałem...

Ryk aplauzu niemal mnie ogłuszył, po twarzach żołnierzy widziałem, że na moment zapomnieli o oblężeniu. Rozgrzani wesołością kolegów, poczuli się sprawni, silni, niezwyciężeni. Przez chwilę.

– Pokaż rękę – poleciłem Hartmannowi.

– Nic mi nie jest, ja...

Obejrzałem dłoń żołnierza, jeden ze stawów wyraźnie napuchł. Ani chybi

przemieszczenie.

– Nie ruszaj się! – rozkazałem.

Pociągnąłem energicznie, suchy chrzęst świadczył, że palec wrócił na swoje miejsce.

– Zwalniam cię z prac fizycznych, dopóki opuchlizna całkiem nie zejdzie. Po zajęciach zgłosisz się do lekarza.

– Kiedy naprawdę nic mi nie jest – zaoponował Hartmann. – A teraz nawet już nie boli.

– Żebym nie musiał dwa razy powtarzać! – rzuciłem groźnie.

– Tak jest! Natychmiast po zajęciach zgłosić się do lekarza!

– Został jeszcze Lis – przypomniał jeden z żołnierzy.

– Raczej egzekucja Lisa – odburknął inny.

– Stawiam na niego sto marek – nieoczekiwanie odezwał się Becker.

W głosie sierżanta pobrzmiwała niewzruszona pewność siebie. No, no, ryzykant z niego, nie przypuszczałem, żeby niski żołnierz mógł mnie czymś zaskoczyć. Choć Bogiem a prawdą nie przyglądałem się, jak walczy: bardziej interesowali mnie Hartmann i sam Becker. Sto marek... Toż to niemal pół miesięcznego żołdu!

– Zaczynamy! – zarządziłem.

Mój przeciwnik wyszedł na środek niezgrabnym, posuwistym krokiem, opierając ciężar ciała na wewnętrznych krawędziach stóp, tak jakby miał problemy z płaskostopiem. Żeby mu się tylko nóżki nie splątały, pomyślałem z rozbawieniem. Złapałem go za ramię, chcąc jak najszybciej zakończyć walkę. Sam nie wiem, co mnie ostrzegło. Instynkt, a może wyraz twarzy żołnierza? Niemal w tym samym momencie odskoczyłem do tyłu, klnąc paskudnie: ledwo uniknąłem wykonanego z niewiarygodną szybkością podcięcia. Prawie dałem się złapać: platfus u spadochroniarza? Akurat! W ułamek sekundy później Lis zaatakował, to podcinając, to próbując pozbawić mnie równowagi, aby przejść do rzutu. Z podobnej klasy przeciwnikiem walczyłem tylko raz, może dwa razy w życiu. Nie licząc, rzecz jasna, białogwardzisty Majki...

Mimo mało imponującej postury Lis dysponował niebagatelną siłą: miałem wrażenie, że cały składa się z kości, ścięgien i wytrzymałych niczym stalowe liny mięśni. Przez dłuższy czas to jeden, to drugi z nas usiłował powalić rywala. Bezskutecznie. Zaczynałem odczuwać zmęczenie, kilkakrotnie dłonie ześliznęły mi się po spoconym torsie przeciwnika; obaj walczyliśmy rozebrani do pasa. Wreszcie udało mi się objąć Lisa wpół i dźwignąć do góry. Technika nie była specjalnie wyrafinowana – wykorzystałem wyższy wzrost i zwykłą fizyczną siłę. Zanim cisnąłem nim o posadzkę, poczułem, jak wiotczeje mi w ramionach. Zaskoczony, rozluźniłem nieco uścisk i to wystarczyło: znienacka horyzont wywinął koziołka i wyłożyłem się jak długi – wyśliznąwszy się z uchwytu, Lis złapał mnie za kostki i przerzucił przez plecy. Koniec meczu, wynik: dwa do jednego dla majora Rotha. Cóż, mogło być gorzej...

– Nic panu nie jest, majorze? – upewnił się zwycięzca, podając mi rękę.

– Żyję – odburknąłem niechętnie.

Mimo ostentacyjnie wyrażanej troski w oczach żołnierza błyszczały złośliwe ogniki. A to gadzina!

– Teraz już pan wie, majorze, dlaczego nazywają go „Lis” – zarechotał Becker.

– I niech nikt nie waży się wyjść, póki nie odbiorę swojej wygranej! – uprzedził surowym tonem.

Zbiorowy jęk świadczył, że w ostatniej walce większość postawiła na mnie.

– Gdzieś się tak nauczył walczyć? – spytałem.

– W berlińskiej szkole Rahna – odpowiedział za niego Becker.

– Ericha Rahna?

– Tego samego – oświadczył sierżant, przeliczając z wyraźną przyjemnością pokaźny plik banknotów.

No, no... Ciekawe. Trzeba będzie przy jakiejś okazji uciąć sobie pogawędkę z Lisem. *Wojenną razwiedką* od dawna interesowała się szkołą Rahna.

Nałożyłem bluzę, starannie zapiąłem guziki munduru. Czas kończyć zabawę. Gwizdnąłem ostro, przerywając rozmowy i przyjacielskie docinki. Żołnierze na komendę Beckera stanęli w dwuszeręgu.

– Od jutra pełna gotowość bojowa! – zarządziłem. – Dziś rozlokujecie się w naszym baraku, jedzenie doniosą wam z kuchni. Żadnych rozmów i kontaktów z resztą garnizonu, warta przez całą dobę, sprawdzić broń i sprzęt! Dopilnujcie tego, sierżancie!

– *Jawohl!* – szczechnął służbiście Becker.

Powiodłem zimnym wzrokiem po zastygłych w bezruchu sylwetkach, szukając najmniejszych oznak niesubordynacji. Postanowiłem, że jakby co, załatwię sprawę tu i teraz. Wspólna zabawa to świetny sposób, żeby nawiązać bliższy kontakt z żołnierzami, jednak zaraz potem trzeba się upewnić, że wszyscy nadal rozumieją, kto tu rządzi. W razie najmniejszych wątpliwości – zademonstrować.

Oparłem dłoń na kaburze, w milczeniu studiowałem nieruchome niczym woskowe maski twarze: Becker, Hartmann, Lis. Wszyscy wyprężeni w pozycji zasadniczej, żadnej nonszalancji, ukradkowych uśmiezków, nawet wyzywającego spojrzenia. Taaak... Chyba pojęli lekcję. Dobry dowódca rzadko kiedy grozi wprost, raczej daje do zrozumienia, jakie mogą być konsekwencje braku dyscypliny.

– Dajcie „spocznij” – zezwoliłem.

– *Rührt euch!*

Zanim doszedłem do wyjścia, któryś z żołnierzy otworzył mi drzwi, inny popędził do samochodu. Wyglądało, że ustaliłem swoją pozycję w grupie...



Odczekała jakieś dwadzieścia minut, akurat tyle, żebym mógł się wykapać i przebrać. Pewnie widziała przez okno, jak wracałem. Zapukała, kiedy zacząłem rozglądać się za czymś do jedzenia. Wpuściłem ją bez słowa, zaprosiłem do stołu. Tak jak ostatnio, przyniosła mi posiłek, tym razem było to coś w rodzaju gulaszu. Mój wkład w organizację obiadu ograniczył się do zapalenia świecy i rozlania alkoholu – o resztę zatroszczyła się *Frau* von Bredow. Nie pytałem o nic, czekałem. Gdybym odezwał się pierwszy, osłabiłbym swoją przewagę. Wolałem, żeby to moja sąsiadka rozpoczęła rozmowę. Tymczasem siedzieliśmy, popijając wino, i wymienialiśmy banalne uwagi na temat pogody. Tak jakby ostra zima była naszym największym zmartwieniem...

– Nie ułatwi mi pan tego, prawda? – spytała wreszcie Inga von Bredow z rezygnacją w głosie.

– Wolałbym nie wysnuwać przedwczesnych wniosków – odparłem wymijająco.

– Och, proszę się nie krygować! Na pewno dawno domyślił się pan wszystkiego!

– Jeśli nawet, byłbym wdzięczny za postawienie kropki nad i.

Moja sąsiadka parsknęła gniewnie – widać było, że nie jest przyzwyczajona do spełniania czyichkolwiek życzeń – ale w końcu skinęła głową.

– Potrzebuję pańskiej pomocy – oświadczyła bez ogródek. – Jestem wdową, mój mąż poległ dwa lata temu, a Horst to jeszcze chłopiec. Ze względu na konieczność opieki nad córką jestem zwolniona z obowiązku pracy, stąd mogę poprowadzić panu dom. Krótko mówiąc: proponuję panu usługi gospodyni i kucharki.

– Co w zamian?

– Wystarczy mi pańskie towarzystwo, być może czasem o coś pana poproszę.

– Nie rozumiem?

– Och, nie miałam na myśli...

O dziwo, Inga von Bredow zaczerwieniła się jak piwonia.

– Moje dzieci się boją – powiedziała. – Horst tego nie okazuje, ale widzę to w jego oczach... A córka... Potrzeba im obecności mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny. Do tego bywa, że samotna kobieta traktowana jest jak łup wojenny.

– Więc chodzi o to, żebym od czasu do czasu pojawił się w pani mieszkaniu i robił wrażenie... przyjaciela rodziny?

– Dokładnie tak – potwierdziła z wyraźną ulgą.

– W porządku – oświadczyłem. – Ale mam jeden warunek.

– Jaki?

– Proponuję mówić sobie po imieniu. Zwracanie się do kobiety, która pierze mi bieliznę, per „pani hrabianko” jest dla mnie nieco zbyt... ekstrawaganckie.

– Zgoda – odpowiedziała natychmiast. – Sama chciałam to zaproponować. I na przyszłość proszę darować sobie tę hrabiankę. Tu i teraz nie ma to najmniejszego znaczenia.

– Rzeczywiście. Tu i teraz – zaakcentowałem.

– Co pan ma... Co masz na myśli?

– Rosjanie nie lubią arystokracji.

Zagryzła wargi, w jej oczach pojawił się strach. Na moment, szybko zastąpiła go determinacja. Najwyraźniej mimo uprzywilejowanej pozycji społecznej Inga von Bredow nie należała do mięczaków.

– Nie dowiedzą się – oświadczyła pewnie. – Niewiele osób wie, kim jestem, a ci mnie nie wydadzą.

Spojrzałem na nią z autentycznym zdumieniem: jeśli w to wierzyła, uwierzy także w hufce anielskie albo cudowną broń Hitlera.

– Co znowu? Znam ich od dziecka, oni... – urwała, patrząc na mnie niepewnie.

– Inga, Inga... – westchnąłem, biorąc ją za rękę.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – oświadczyła sztywno, cofając dłoń.

– Jak rozumiem, inni kandydaci na „przyjaciół rodziny” mieli wobec ciebie konkretne oczekiwania? – spytałem domyślnie.

– Jacy „inni”?

– Przedstawiając mi swoją propozycję, wspomniałaś, że nadałby się w zasadzie każdy mężczyzna. Nie przypuszczam, żebym był pierwszym i jedynym kandydatem...

– Owszem – przyznała niechętnie. – Co to ma za znaczenie?

– Dlaczego właśnie ja? Sądziłaś, że nie będę stawiał warunków co do naszych wzajemnych... relacji?

– A będziesz? – odbiła pytanie.

– Nie mam zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek, ale chcę wiedzieć, dlaczego akurat mnie zaproponowałaś ten... układ. Przecież ledwo się znamy.

– Nikt inny nie zaryzykowałby życia dla mojego syna. No i cieszysz się opinią człowieka, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Mam znajomego w sztabie von Ahlfena – dodała wyjaśniająco. – Zacytował mi kilka urywków z twojego dossier.

– Rozumiem – mruknąłem. – Jestem wilkiem, który ma odstraszyć psy...

– Mam nadzieję, że nie czujesz się urażony?

– Skąd! – Wzruszyłem ramionami. – Zresztą układ jest korzystny i dla mnie: trudno dziś o dobrą kucharkę...

– Odpowiesz teraz na moje pytanie? Co z nami będzie? Czy Breslau się obroni? Z westchnieniem przeniosłem się na kanapę, rozprostowałem nogi.

– W tej kwestii istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź i tę już znasz.

– Myślałam, że mnie już sprawdziłeś i wiesz, że nie polecę nigdzie z donosem!

– Bądź uprzejma nie podnosić głosu – poprosiłem chłodno. – Sprawdziłem? A niby kiedy? Jestem oficerem w służbie czynnej i jako taki otrzymałem konkretne zadanie do wykonania. Jest ono związane z obroną Breslau, a nie osobą hrabianki Ingi Matyldy Judyty von Bredow. Wiem tylko, że twój ojciec robił coś dla Himmlera, a to, jak sama rozumiesz, dość szczególna rekomendacja...

– Prosiłam, żebyś dał spokój z tą hrabianką!

– Przepraszam, więcej nie będę – zapewniłem z uśmiechem.

– Rozumiem, że zanim cokolwiek powiesz, muszę się na tyle skompromitować, żebym nie mogła na ciebie donieść?!

– Witamy w realnym świecie – odparłem, nie starając się nawet ukryć sarkazmu.

– No dobrze... – Zagryzła wargi. – Mój ojciec kierował akcją ukrywania dokumentów na polecenie Himmlera. Dokumentów ogromnej wagi.

– A konkretnie? – spytałem, starając się nie okazać zainteresowania.

– Niewiele wiem na ten temat, ojciec niechętnie o tym mówił. Podejrzewam, że bał się, abym czegoś przypadkiem nie wygadała. Kiedyś jeden z jego współpracowników szepnął...

– Tak?

– Chyba mu się spodobałam i chciał zrobić na mnie wrażenie – wyznała, wyłamując palce. – Dał do zrozumienia, że to część wielkiego, tajnego projektu, rzucił nazwę: „Odrodzenie”.

Spojrzała na mnie pytająco, jakby chciała spytać, czy już wystarczy? Nie zareagowałem, więc po chwili podjęła temat.

– Tam są spisy naszych agentów, w tym i takich, którzy mają na razie pozostać nieaktywni, dokumentacja techniczna nowych rodzajów broni...

– Wunderwaffe? – westchnąłem, przewracając oczyma.

– Niezupełnie. Nie chodzi o propagandę, tylko realnie istniejące konstrukcje, które nie wyszły jednak poza fazę prototypów: nowe rodzaje rakiet, samolotów, łodzi podwodnych, superciężkich czołgów...

Z trudem przełknąłem ślinę, starając się siłą woli rozluźnić napięte z emocji mięśnie. Spokojnie, tylko spokojnie... Znaczący pogłoski, że naziści starają się przygotować grunt pod przyszłe odrodzenie Trzeciej Rzeszy, okazały się prawdą. Podobnie jak plotki o niebagatelnej roli Zygfrieda von Bredowa w projekcie. Nic dziwnego, że dowodzący oblężeniem Breslau generał Głuzdowski otrzymał rozkaz, aby udzielić mi wszelkiej pomocy: przejęcie archiwum Himmlera mogło radykalnie zmienić układ sił w nowym, powojennym świecie. W świecie, w którym dotychczasowi sojusznicy staną się rywalami...

– To wszystko?

– Nie, jest jeszcze jedna sprawa: szykuje się zmiana na stanowisku dowódcy twierdzy.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Jak powiedziałam, mam pewne znajomości. I nie, nie zdradzę, kto przekazał mi informację!

– Co to za zmiana?

– Mój... informator nie miał całkowitej pewności, ale podobno mówi się o generale Niehoffie.

Zakląłem głośno, nie krępując się obecnością sąsiadki. Niech to szlag! Niehoff... W takim razie nie ma co liczyć na rychłą klęskę Breslau, nie ma nadziei

na szybkie zakończenie misji. Gdyby miasto padło, wystarczyłoby zatrzymać rodzinę von Bredow i rozpocząć negocjacje z Zygfydem. Jeżeli walka się przeciągnie, czas będzie miał decydujące znaczenie: niewykluczone, że archiwum Himmlera szukają już Anglicy czy Amerykanie, możliwe też, że część dokumentów ukryto na terenach zajętych przez naszych sojuszników. Wreszcie sam Zygfyd von Bredow mógł się do nich zgłosić, oferując archiwum Himmlera w zamian za zapewnienie bezpieczeństwa córce i wnukom. Rzecz była prawdopodobna, bo stary nigdy nie należał do zwolenników Hitlera, z tym ostatnim łączyło go tylko jedno: nienawiść do komunizmu...

– To zła wiadomość? – spytała niepewnie Inga.

– Zależy dla kogo – odburknąłem.

– Może mnie w takim razie oświecisz? Ja odkryłam wszystkie karty!

Rzeczywiście, sam fakt ujawnienia istnienia archiwum zostałby uznany za zdradę, podobnie jak szerzenie plotek o zmianach w dowództwie, szczególnie jeśli te okazałyby się prawdą. Taaak, gdybym był donosicielem, *Frau Inga* nie pożyłaby długo: w Breslau karano śmiercią za mniejsze przewinienia.

– No dobrze, co chcesz wiedzieć?

– Jakie mamy szanse? No i dlaczego tak cię zdenerwowała wiadomość o Niehoffie?

– Nie mamy żadnych szans, Niehoff w odróżnieniu od von Ahlfena to doświadczony żołnierz, osobiście oddany Hitlerowi – odparłem zwięźle.

– Nie rozumiem? To źle, że ma doświadczenie?

– Zależy dla kogo – powtórzyłem. – Jeśli dowództwo obejmie Niehoff, będziemy się bili do ostatniego naboju. Przy przewadze, jaką mają Rosjanie, jest na to tylko jedna recepta: maksymalnie wykorzystać ludność cywilną, karząc bezlitośnie wszystkich uchylających się od walki i pracy, rozdać broń dzieciakom, na wielką skalę niszczyć budynki, aby otworzyć pole ostrzału własnej artylerii i zablokować gruzem najważniejsze ulice, być może zbudować prowizoryczne lotnisko w centrum miasta: stare jest już zagrożone przez wroga. Wymieniać dalej?

– Uważasz, że von Ahlfen postąpiłby inaczej?

– Zarówno von Ahlfen, jak i Niehoff zdają sobie sprawę, że wojna jest przegrana. Tylko że ten drugi nie ma zamiaru brać tego pod uwagę. To fanatyk.

– A generał Schörner? Podobno jego wojska szykują się do odblokowania miasta?

– Szykują się, powiadasz? Może i tak, tylko że jest to równie realne, co brednie na temat Wunderwaffe...

Tym razem Inga nie potrafiła opanować strachu, lęk wypełził jej na twarz, powlekł skórę chorobliwą bielą, odsłonił delikatne niczym pajęczyna zmarszczki w kącikach oczu.

– Więc Rosjanie zdobędą Breslau? – spytała, splatając nerwowo palce. – To pewne?

– Zdobędą – przytaknąłem.

– Co wtedy? Te wszystkie morderstwa i gwałty, których rzekomo dopuszczają się Rosjanie, to tylko propaganda?

W jej głosie zabrzmiał dziwny, proszący ton, tak jakby chciała, żebym niezależnie od wszystkiego zaprzeczył doniesieniom radia i prasy.

Wolno, starając się nie okazać przepełniającej mnie satysfakcji, pokręciłem głową.

– Niestety, to prawda. Pewnie i propaganda robi swoje – przyznałem – ale Rosjanie nie znają litości.

– Ale dlaczego?! Czym im zawiniliśmy?! Kobiety, dzieci, starcy?

Mimo woli z gardła wydarł mi się suchy, bezradosny śmiech podobny do warkotu wściekłego psa. Czym nam zawinili? Dobrze sobie!

– To takie zabawne?!

– I owszem – potwierdziłem. – Już w trzydziestym dziewiątym nasze wojska otrzymały rozkaz prowadzenia wojny ze szczególną brutalnością. I tak też postępowaliśmy: bombardowaliśmy polskie szpitale, kolumny uchodźców, rozstrzeliwaliśmy jeńców wojennych i cywilów broniących własnego kraju. Tak nam przecież polecił Führer! – zaakcentowałem. – To tylko jeśli chodzi o wojnę, a przecież później nastąpiła okupacja. Słyszałaś o obozach koncentracyjnych? Mówią ci coś takie nazwy, jak: Stutthof, Auschwitz, Treblinka? A o obozach dla dzieci? Tak, dla dzieci! – powtórzyłem, patrząc w przerażone oczy Ingi. – Myślisz, że w Rosji było inaczej? Mam ci opowiedzieć, jak nasze dzielne wojska traktowały „podludzi”? O gwałtach na Rosjankach, o głodowych racjach, które sprawiały, że kobiety prostytuowały się, żeby utrzymać przy życiu własne dzieci? O *Kommissarbefehl*, na mocy którego miano rozstrzeliwać na miejscu wszystkich schwytanych komisarzy? O rosyjskich jeńcach, którym odmawiano leczenia, żywności, a nawet wody? Cóż – wzruszyłem ramionami – przegraliśmy wojnę, a teraz Rosjanie stoją u naszego progu. Pełni wstydu, bo nie dali rady obronić swoich dzieci i kobiet, pałający żądzą zemsty za śmierć i hańbę najbliższych. A komisarze, ci, którzy przeżyli, wbijają w naszą ziemię słupy z napisami: „Oto one, przekłute Niemcy!” – wyskandowałem, wypływając słowa niczym skrzepy krwi z głębi trzewi.

Odetchnąłem głębiej, jednym haustem wychyliłem kieliszek wina.

– Dlatego nie będzie litości – powiedziałem już ciszej. – Bo i my jej nie okazaliśmy, dlatego ucierpią niewinni, bo i my nie oszczędziliśmy niewinnych...

Śmiertelnie blada Inga von Bredow wpatrywała się we mnie, jakby ujrzała ducha, nagle zakryła usta i wybiegła z pokoju. W chwilę później usłyszałem odgłosy torsji.

– Nie trzeba było pytać – wymamrotała, wróciwszy. – Zawsze jesteś taki... bezpośredni?

– Myślałem, że chcesz znać prawdę?

– Ja też myślałam, że chcę ją znać. Teraz wątpię, czy było warto...

– Przepłucz usta – zarządziłem, nalewając jej wina. – Od razu poczujesz się lepiej.

Z westchnieniem wróciła do łazienki, posłusznie wykonała polecenie.

– Chyba nie pomogło – szepnęła, opierając się ciężko o umywalkę. – Moje dzieci... Horst!

Niespodziewanie zaczęła płakać. Cicho, niemal bezgłośnie, rozpaczliwie. Kiedy otoczyłem ją ramionami, przywarła do mnie desperacko, wczepiła się w ubranie jak dziecko. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie odczuwam zadowolenia, a przecież zbliżyłem się o krok do rozwiązania zagadki, zdobyłem zaufanie Ingi. Dokładnie tak, jak planowałem. W dodatku pozyskałem cenne informacje na temat zmian w dowództwie Festung Breslau. Jednym słowem, same sukcesy. A jednak... W czym rzecz, do cholery?! W czym rzecz?! Sentymenty? Bzdura! Zachowanie Ingi budziło we mnie jedynie lekkie zniecierpliwienie. Mimo to dziwne, nieokreślone, ale z pewnością nieprzyjemne uczucie narastało.

– Dziękuję – powiedziała, podnosząc głowę i uśmiechając się przez łzy.

Wtedy powróciło wspomnienie: oczy. Widziałem już taki wzrok u kobiety. W lecie czterdziestego pierwszego roku... Wracając z nieudanej misji – błyskawiczne sukcesy wroga uniemożliwiły przeprowadzenie operacji – objąłem dowództwo nad resztkami rozbitego batalionu piechoty. Wycofując się, przejeżdżaliśmy przez niewielką, liczącą kilkanaście chałup wioskę. Jej mieszkańcy uciekli już wcześniej, została tylko jedna ciężarna kobieta. Ta stanęła na poboczu, obserwując nasz przejazd. W milczeniu, z uczepioną spódnicy gromadką dzieci. Nie zwolniliśmy nawet – wszystkie ciężarówki były przepełnione rannymi, a na horyzoncie podnosił się kurz wzbijany przez niemieckie czołgi. Kobieta nie próbowała nas zatrzymać, nie prosiła o pomoc, w jej oczach nie było już nadziei. Stała, obejmując dzieci: ostatnia opora maluchów w roztrzaskanym przez wojnę świecie...

Udało nam się ująć przed Niemcami, ale nie przed jej spojrzeniem. To powracało w nocnych koszmarach i na jawie. Dzisiaj zobaczyłem je znowu, u Ingi...



Obudziło mnie walenie w drzwi, zerknąłem na zegarek: druga w nocy. Kogo diabli niosą? Jeśli jakiś nadgorliwiec chce mi przypomnieć o konieczności zejścia do schronu, to chyba zastrzelę gada. Co prawda zza okien dochodził łoskot dział przeciwlotniczych i wycie syren, ale nie przeszkadzało mi to w najmniejszym stopniu – wiedziałem, że rejon, w którym mieszkam, nie będzie bombardowany. Piloci, którzy niedawno ostrzelali Salzstrasse, zrobili to z własnej inicjatywy i pewnie dostali za swoje po powrocie do bazy. Sam towarzysz Stalin poinformował Głuzdowskiego o mojej misji, polecając jednocześnie udzielenie mi

wszelkiej niezbędnej pomocy. Nie, pomimo ataków lotniczych pułkownik Razumowski może spać spokojnie...

Łup! Łup! Łup! Nieznany natręt po raz kolejny przypomniał mi, że nie wszyscy akceptują moje prawo do odpoczynku. Klnąc pod nosem, chwyciłem za pistolet i z rozmachem otworzyłem drzwi.

– Nie uważasz, że trochę za późno na herbatkę? – warknąłem, patrząc na sąsiadkę.

Inga trzymała w ramionach owiniętą w gruby koc córkę, zza pleców matki wyglądał Horst. Rodzina von Bredow w komplecie...

Płomień trzymanej przez chłopaka lampki pełgał niepewnie, rzucając na ściany i sufit fantastyczne, groźnie wyglądające cienie. Wokół rozchodził się zapach zjełczałego tłuszczu. Skrzywiłem się bezwiednie – ciekawe, czego używają jako paliwa? Chociaż może lepiej nie wiedzieć: ustrojstwo zrobiono chałupniczą metodą z łuski po pocisku artyleryjskim.

– Mamy nalot! Trzeba natychmiast zejść do piwnic!

– To nie nas bombardują – ziewnąłem. – Atakują baterie przeciwlotnicze na Kaiserstrasse. Nam nic nie grozi, a osobiście wolę spędzić noc we własnym łóżku.

– Naprawdę tak uważasz? – spytała nerwowo Inga.

– Naprawdę.

– Mamo! Chcę do łóżeczka! – zawołała płaczliwie dziewczynka.

– A może siusiu? – zaproponowałem ironicznie.

Jeszcze tego mi brakowało: zaraz będę uspokojał rozhisteryzowaną kilkulatkę, Inga najwyraźniej nie dawała sobie rady. Istny dom wariatów albo przedszkole imienia Razumowskiego...

– Nie – odparło dziecko, patrząc na mnie z urazą.

Cóż, nie ma to jak zrobić dobre wrażenie...

– Wejdźcie – westchnąłem z rezygnacją, szerzej otwierając drzwi.

Po krótkim namyśle sąsiadka przyjęła moje, nie da się ukryć, niezbyt entuzjastyczne zaproszenie. Zaprowadziłem spóźnionych gości do salonu, usiedliśmy za stołem.

– Zgaś to swoje kopicidło – poleciłem Horstowi. – Wystarczy nam lampa naftowa.

– Z zewnątrz nie będzie widać światła? – zaniepokoiła się Inga. – Bo jak któryś z lotników to zobaczy...

Roześmiałem się mimo woli – ech, ci cywile...

– Na oknach są grube story, a zapewniam cię, że rosyjscy piloci mają teraz inne problemy: blask pożarów, reflektory, serie smugowych pocisków... Nawet gdyby gapili się w nasze okna, nic nie zauważą – zapewniłem.

– Chcę do łóżeczka! – powtórzyła rozkapryszonym tonem dziewczynka.

– Za chwilę – obiecała córce Inga.

– Teraz!

– Jak masz na imię? – zwróciłem się do małej.

– Klaudia – odpowiedziała, nie wyjmując palca z buzi.

Chyba rzeczywiście była zmęczona. Zupełnie jak ja...

– Chodź. – Wyciągnąłem do niej rękę.

– Gdzie?

– Do łóżeczka.

Dziewczynka bez wahania objęła mnie za szyję. Zaciśnąłem zęby, czując słodkawą, kojarzącą się z mlekiem woń. Klaudia pachniała jak rosyjskie dzieci. Tyle że nie była Rosjanką...

– Bombią – poskarżyła się, kiedy okryłem ją kołdrą.

– Jak ci się nie podoba, to odniosę cię do mamy – odburknąłem. – Ja mogę spać i w czasie bombienia, tfu... bombardowania.

– Ja też! – oznajmiła gniewnie. – Zobacz, zamykam oczka i już!

– Żeby cię więcej nie słyszał! – rzuciłem groźnie i wyszedłem.

Przymknąłem drzwi, pozostawiając szeroką na parę centymetrów szparę. W razie czego będzie słyhać, gdyby smarkula dalej marudziła.

– Zasnęła? – zainteresował się Horst.

– Skąd mogę wiedzieć? Leży w łóżku.

– Nie płacze – zauważyła z lekkim zdziwieniem Inga.

– A dlaczego ma płakać?

– Zawsze kaprysi przed snem – wyjaśniła. – Czasami muszę przy niej siedzieć godzinami.

– Może dlatego, że próbujesz z nią dyskutować? – zauważyłem złośliwie. – Ja jej po prostu kazałem zamknąć buzię. Nie widzę sensu w negocjacjach z czterolatką. Ale co ja w końcu wiem o dzieciach...

– Po pierwsze Klaudia ma już pięć lat, po drugie... – zaczęła z oburzeniem Inga.

Urwała, słysząc cichy śmiech syna. Widać młody von Bredow doszedł do podobnych wniosków co ja.

– Horst!

– Przecież nic nie mówiłem, mamó – odparł chłopak z niewinną miną.

Inga zgromiła go wzrokiem, po czym zrzuciła pantofle i ostrożnie zajrzała przez uchylone drzwi.

– Zasnęła – poinformowała nas po chwili.

– Świetnie – mruknąłem. – Tylko co teraz?

– Nie rozumiem?

– Co będziemy robić? – doprecyzowałem. – Może zanieść ją z powrotem do was?

– Natychmiast się obudzi! – zaprotestowała Inga. – Wiem, że to kłopot, ale może przespałaby tę noc u ciebie?

– A ja?

– Cóż...

– Może jednak wrócimy do siebie? – zaproponował zakłopotany Horst. – Pan

major nie ma wobec nas żadnych zobowiązań...

Parsknąłem lekceważąco: po minie chłopaka widziałem, że zastanawia się nad przyczyną mojej zażyłości z matką.

– Aleks? – odezwała się prosząco Inga.

Zakląłem w duchu, perspektywy misji przedstawiały się coraz gorzej. Wyglądało na to, że nie uda mi się uniknąć bliższych kontaktów z rodziną von Bredow, na co nie miałem najmniejszej ochoty. Zamiast smakować chwilę, kiedy Niemcy ze zdobywców świata zamienili się w zwierzynę łowną, przyjdzie mi niańczyć trójkę Szwabów. I żeby tylko to! Jeszcze trochę, a zacznę widzieć w nich ludzi, a to w moim fachu śmiertelny i często ostatni błąd... Jednak nie miałem wyboru; zainteresowanie towarzysza Stalina sugerowało, że osobiście rozliczy mnie z wyników akcji. Tak więc przyjdzie mi się pomęczyć. Chyba że dziadzio Zygfryd wpadnie w nasze ręce, wtedy załatwimy sprawę na zasadzie transakcji handlowej.

– No dobrze – stwierdziłem z rezygnacją. – Niech sobie śpi. Połóż się razem z nią, łóżko jest spore, zmieścicie się bez problemu. Ja i Horst przenocujemy u was.

– Oczywiście. Dziękuję...

– Idziemy! – ponagliłem chłopaka. – Chciałbym jeszcze trochę się zdrzemnąć.

– Nie wiem tylko, czy moje łóżko nie będzie dla ciebie zbyt wąskie – odezwała się z zakłopotaniem Inga. – Ja...

– Nie szkodzi – uciąłem. – Spałem i w gorszych warunkach. Aha, pieniądze i kartki żywnościowe są w tamtej szafce.

– Pieniądze? – spytał niespokojnie Horst.

Złapałem lampę i bez ceregieli wypchnąłem go na korytarz.

– Twoja matka zgodziła się gotować dla mnie i prowadzić mi dom – poinformowałem krótko. – Ja nie mam na to czasu.

Widoczna na twarzy подростка ulga świadczyła, że młody von Bredow rozpatrywał i inne, niezwiązane z pracą gospodyni opcje...

– Rozumiem – wymamrotał, wyciągając klucze. – Już otwieram.

– Macie w domu jakiś alkohol? – spytałem.

– Coś się znajdzie – obiecał. – Te bombardowania rzeczywiście są denerwujące.

Nie odpowiedziałem. Bombardowania, dobre sobie! Gdyby nie najazd sąsiadów, spałbym sobie spokojnie do rana. No nic, zobaczymy, jutro miałem przejść linię frontu w asyście moich nowych pretorianów. Może nasi złapali już Zygfryda i będę mógł zakończyć akcję w kilka dni? Oby. Bo na dalsze przebywanie w Breslau nie miałem ochoty. Wolałem oglądać płonące miasto z zewnątrz...



ROZDZIAŁ DRUGI

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ TRZECI

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



POSŁOWIE

Zwroty obcojęzyczne i ciekawostki

Frau – pani

Fräulein – panienka

Kapitulieren? Nein! – Kapitulować? Nie!

Jawohl! – Tak jest!

Komandir – dowódca

Tak toczno! – Tak jest!

Die Russen kommen! – Rosjanie nadchodzą!

Ich bin Jude. – Jestem Żydem.

On toczno miortw, jego zariezali kak swiniu. – On naprawdę nie żyje, zarżnęli go jak świnie.

Ja wam nie wieriu. – Nie wierzę wam.

Nienawizu. – Nienawidzę.

Kak tiebia zowut? – Jak masz na imię?

Mienia toże zowut Sasza. – Ja też mam na imię Sasza.

Czto skazesz, siestrionka? – Co powiesz, siostrzyczko?

K czortu! – Do diabła!

Osobyj – specjalny

Po maszinam, riebiata! – Do wozów, chłopaki!

Nikak niet! – Skądże! W żadnym wypadku!

Truppenfahrrad – niemiecki rower wojskowy. Dzięki zastosowaniu uchwytów

transportowych można było przewozić na nim radiostację, skrzynki z amunicją bądź broń lub elementy uzbrojenia. Rowery tego typu malowano czarną, matową farbą i wytwarzano dla armii niemieckiej w ogromnych ilościach. Ponieważ produkcją zajmowało się wiele różnych fabryk, mimo istnienia pewnych ogólnych standardów poszczególne egzemplarze różniły się detalami.

Breslau – Wrocław. W powieści konsekwentnie używam nazwy Breslau, ponieważ takowa była wówczas powszechnie stosowana.

SzKAS – skrót od: *Szpitalnego-Komarickiego Awiacjonnyj Skorostrielnij* (Szybkostrzelny Lotniczy Szpitalnego i Komarickiego). Karabin maszynowy skonstruowany przez Szpitalnego i Komarickiego dla radzieckiego lotnictwa. Wykorzystywany między innymi w samolotach szturmowych Il-2. Szybkostrzelność teoretyczna wynosi 1800 strzałów na minutę, w odmianie Ultra-SzKAS – 3000 strzałów na minutę.

Hitlerjugend – „Młodzież Hitlera”, organizacja paramilitarna skupiająca niemiecką młodzież. Rozporządzenie z 1939 roku określało, że do służby w Hitlerjugend zobowiązani są wszyscy nieletni w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat. W 1943 roku ze względu na ogromne straty Hitlerjugend zamieniono w rezerwę wojskową i na bazie aktywistów tej organizacji utworzono 12. Dywizję Pancerną SS Hitlerjugend. Większość jej żołnierzy miała po siedemnaście lat. Jednostka ta szybko zasłynęła z bezwzględności, fanatyzmu i skuteczności w walce. Powierzano jej najtrudniejsze zadania: w czasie walk w Normandii w ciągu miesiąca straciła sześćdziesiąt procent stanu osobowego, w kotle pod Falaise otrzymała rozkaz osłaniania odwrotu wojsk niemieckich. W trakcie działań osłonowych straciła większość sprzętu, ale wydostała się z okrążenia. W 1945 roku w walkach o Wrocław brały udział dwa bataliony Hitlerjugend, które wyróżniły się agresją i zaciętością w boju, ponosząc jednak bardzo duże straty.

RSAH – *Reichssicherheitshauptamt* – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Unterscharführer – najniższy stopień podoficerski w SS. Odpowiadał mniej więcej stopniowi plutonowego.

Sicherheitsdienst – pełna nazwa: *Sicherheitsdienst des Reichsführers-SS* (w skrócie SD), Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS. Organ wywiadu, kontrwywiadu i służba bezpieczeństwa SS.

Erich Rahn – pionier niemieckiego *jujutsu*. W 1906 roku założył w Berlinie

pierwszą szkołę *jujutsu*. W późniejszym okresie zainteresował tą sztuką policję i wojsko.

Salzstrasse – konstruuując fabułę swoich powieści, staram się, na ile to możliwe, brać pod uwagę realia. Dlatego opisując Wrocław z czasów oblężenia, korzystałem ze starych map, fotografii, wspomnień i pamiątek. Tak było i z Salzstrasse (obecnie ulica Cybulskiego), gdzie kazałem mieszkać Razumowskiemu i Indze. Ulica ta przetrwała wojnę w stanie niemal nienaruszonym.

Głuzdowski – Władimir Aleksiejewicz Głuzdowski, generał-lejtnant, w latach 1944-1945 dowodził Szóstą Armią Pierwszego Frontu Ukraińskiego, zdobywającą Wrocław. Urodził się w 1903 roku w Tyflisie (późniejsze Tbilisi). Podobno był wnukiem polskiego zesłańca, ale ogólnie dostępne rosyjskie źródła nic nie mówią na ten temat.

Kommissarbefehl (rozkaz o komisarzach) – jeszcze przed rozpoczęciem operacji „Barbarossa” (ataku na Związek Radziecki) Adolf Hitler jasno określił, że nie może być mowy o zachowaniu ogólnie przyjętych zasad odnoszących się do konfliktów zbrojnych i że niemieckie wojska prowadzić będą wojnę totalną. W związku z tym zatroszczono się o stworzenie „podstawy prawnej” umożliwiającej armii niemieckiej prowadzenie eksterminacji zarówno ludności cywilnej, jak i jeńców wojennych. Przykładowo rozkaz o „Jurysdykcji Barbarossa” z 13 maja 1941 roku zezwalał każdemu niemieckiemu oficerowi na Wschodzie na dokonanie egzekucji bez sądu na osobach podejrzewanych o wrogi stosunek do Niemców. „Kommissarbefehl” w imieniu Hitlera podpisał feldmarszałek Wilhelm Keitel w dniu 6 czerwca 1941 r. Zgodnie z rozkazem zidentyfikowanych komisarzy politycznych należało natychmiast izolować od innych więźniów i likwidować. Dowództwo Wehrmachtu świetnie zdawało sobie sprawę, że rozkaz jest nielegalny: w formie pisemnej przesłano go tylko do sztabów grup armii i armii z instrukcją, że dalej ma być rozpowszechniany jedynie w formie ustnej.

Podporucznik Nazarow – Aleksander Aleksandrowicz Nazarow był dowódcą plutonu w 1. Batalionie 243. Pułku Strzelców Wołżańskich, wchodzącym w skład 181. Dywizji Strzelców. Okoliczności jego śmierci opisałem w powieści. Podporucznik Nazarow pośmiertnie został nagrodzony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

Hojjutsu i kinbaku – jak i w przypadku wielu innych sztuk walki, początki *hojjutsu* nie są zbyt dobrze znane i często mieszają się z mitami. I tak na przykład

według przekazu związanego z Takenouchi-ryu (jedną z najstarszych szkół *jujutsu*) sekrety sztuki krępowania przekazał założycielowi szkoły siwowłoso, wysoki na dwa metry *yamabushi* (dosłownie „ukrywający się w górach”) podobny do bóstwa Atago. To on właśnie za pomocą zerwanego z pobliskiego drzewa pnącza miał zademonstrować mistrzowi Takenouchi Hisamori, jak wiązać obezwładnionego przeciwnika. Techniki te zwane *musha garami* stały się pierwowzorem *haya nawa* (szybkiego krępowania przeciwnika krótkim sznurem). Na polu walki często w tym celu używano *sageo* – sznura doczepianego do pochwy miecza. Techniki „szybkiego sznura” były brutalnie skuteczne i nie zawierały żadnych ozdobników: ich celem było odebranie powalonemu wrogowi jakiegokolwiek szansy na kontratak. Na przykład skrępowane na plecach ręce łączono z więzami na nogach i samozaciskającą się pętlą na szyi, co przy najmniejszym ruchu powodowało duszności, a przy gwałtownych mogło zakończyć się śmiercią ofiary.

Nieco później zaczęła stosować podobne techniki policja, tyle że w tym wypadku kładziono nacisk na nieco inne priorytety: krępowanie miało oczywiście unieruchomić przestępcę, ale ważny był też wymiar ceremonialny (rodzaj więzów, a nawet kolor sznura zmieniano w zależności od rangi aresztanta i rodzaju przestępstwa), pętanie samo w sobie było karą (winni przestępstw skazywani byli na pozostawanie w niewygodnej pozycji całymi godzinami bądź też stanowiło to rodzaj tortur sądowych w celu wymuszenia zeznań), niesłychanie ważny był też aspekt estetyczny – więzy miały wręcz „ozdabiać” ciało...

Podstawowe zasady „policyjnego” *hojojutsu* zakładały, że więzy – mimo zadawania bólu – nie mogą powodować nieodwracalnych uszkodzeń, co wymagało sporej wiedzy anatomicznej i doświadczenia praktycznego, gdyż umieszczenie splotów w nieodpowiednim miejscu skutkować mogło między innymi zatrzymaniem krążenia czy uciskiem na nerwy.

Swego rodzaju odmianą *hojojutsu* (choć w mocno umownym sensie) jest *kinbaku*, używa się także terminu *shibari*. Uległe kobiety i zabawa w dominację są od dawna obsesją Japończyków. Za ojca *kinbaku* uchodzi japoński malarz Seiū Ito. Zainspirowany erotycznymi podtekstami występującymi w obrazach *ukiyo-e* takich artystów jak choćby Tsukioka Yoshitoshi (przedstawiających skrępowane kobiety) i w teatrze *kabuki*, rozpropagował sztukę erotycznego wiązania, wykorzystując w niej elementy *hojojutsu*. Mimo początkowych protestów doczekał się uznania jako artysta (był autorem fotografii, obrazów i książek), a sama idea przyjęła się w Japonii. W każdym kręgu kulturowym istnieją herosi siejący spustoszenie w sercach kobiet, w Japonii jedną z takich postaci jest *nawashi* – mistrz liny...

Armia Czerwona w Niemczech – morderstwa, rabunki, a przede wszystkim gwałty dokonywane przez rosyjskich żołnierzy na terenie Niemiec należą do najbardziej ponurych kart II wojny światowej. Ofiarami czerwonoarmistów padały

i kobiety innych narodowości (w tym Polki), ale dopiero na terenach należących do III Rzeszy rozpełtała się prawdziwa orgia zniszczenia. Nie wszystkie zbrodnie przypisywane Armii Czerwonej miały rzeczywiście miejsce: niemiecka propaganda w ostatnich miesiącach wojny działała pełną parą, a i okres zimnej wojny nie sprzyjał obiektywnemu podejściu do tego tematu, niemniej jednak nie ulega wątpliwości, że setki tysięcy, a może i miliony Niemców stały się ofiarami przemocy seksualnej ze strony radzieckich żołnierzy. Wiele z nich popełniło samobójstwo, czasem wraz z rodzinami. Inne „przystosowały” się do sytuacji, zajmując się prostytutką. Co dziwne – cieszyły się szacunkiem rodaków. Zjawisko było na tyle powszechne, że dokumenty z tego okresu mówią wręcz o nagabywaniu Rosjan przez niemieckie prostytutki. Przypadki, kiedy niemieccy mężczyźni występowali w obronie kobiet, zdarzały się jedynie sporadycznie. Nie można w żaden sposób usprawiedliwić tego, co robili Rosjanie, jednak wypada zauważyć, że po stronie niemieckiej niemal nie występuje refleksja, iż niemieckim kobietom przyszło zapłacić za postępowanie swoich mężczyzn na Wschodzie. Morderstwa i gwałty towarzyszyły bowiem armii niemieckiej od samego początku wojny, a Związek Radziecki był krajem wyjątkowo poszkodowanym przez Trzecią Rzeszę. Stąd słowo „litość” było dla Rosjan w Niemczech jedynie abstrakcyjnym pojęciem. Istniały jednak granice, których Rosjanie (przeważnie) nie przekraczali: tak jak napisałem w powieści, nie krzywdzono dzieci. Potwierdzają to zeznania wielu świadków i wspomnienia samych Niemców.

Czy dowództwo Armii Czerwonej rzeczywiście chciało złamać morale Niemców, wydając zezwolenie na takie, a nie inne traktowanie obywateli Trzeciej Rzeszy? Nie są znane żadne dokumenty, które potwierdzałyby to wprost, jednak rozkazy wydawane przez rosyjskich dowódców, jak choćby rozkaz dowódcy 3. Frontu Białoruskiego, generała Iwana Czerniachowskiego (znanego z akcji rozbrajania i likwidacji oddziałów AK na Wileńszczyźnie), nawołujący do zamienienia „kraju faszystów” w pustynię, i działalność oficerów politycznych, przypominających żołnierzom, że wkraczają na tereny „przeklętych Niemców”, sugerują, iż myśl ta nie jest wcale aż tak nieprawdopodobna, jak by się to wydawało na pierwszy rzut oka...

Tania Sawiczewa – opisana w powieści historia Tani Sawiczewej jest prawdziwa: w czasie oblężenia Leningradu dziewczynka prowadziła coś w rodzaju dziennika, w którym za pomocą lakonicznych, pozornie beznamiętnych wpisów odnotowała śmierć swoich bliskich. Zmarła w wieku czternastu lat w 1944 roku w szpitalu w wyniku skrajnego wycieńczenia i gruźlicy. Była jedynym dzieckiem z liczącego sto dwadzieścia pięć osób transportu, którego nie udało się uratować. Być może wpłynął na to brak woli życia – dziewczynka była przekonana, że cała jej rodzina zginęła. Po wojnie okazało się jednak, że ocalała jej siostra Nina: dwudziestego ósmego lutego 1942 Nina nie wróciła z pracy do domu, gdyż została ewakuowana wraz z całym zakładem i nie zdążyła powiadomić o tym bliskich. Tania nie

zamieściła notatki o śmierci Niny (zapewne początkowo mając nadzieję, że ta żyje), ale z biegiem czasu prawdopodobnie doszła do wniosku, że jej siostra umarła, tak jak i reszta rodziny (nie знаła też losów brata – Miszy, który opuścił miasto przed rozpoczęciem blokady)...

Kiedy Nina wróciła do Leningradu, chcąc wyjaśnić losy bliskich, w jej ręce wpadł dziennik Tani. Początkowo nie zwróciła na niego uwagi, dopiero jej mąż zorientował się w charakterze „dziecięcych bazgrołów” i zaproponował umieszczenie dziennika w Muzeum Obrony Leningradu. Obecnie dokument eksponowany jest w Państwowym Muzeum Historii Sankt Petersburga jako symbol heroizmu mieszkańców miasta z czasów blokady. W 1971 roku Ludmiła Czernych nazwała nowo odkrytą planetoidę imieniem Tani.

Kryształki – wspomniane w powieści kryształki istnieją naprawdę. To rodzaj szklanego pręcika długości kilku milimetrów (niektóre są nieco dłuższe). Pręcik składa się z dwóch elementów, między którymi umieszczono wykonaną techniką mikrokropki fotografię. Jeden z elementów zawiera coś w rodzaju soczewki. Kryształki znajdowano w różnych miejscach, między innymi na Dolnym Śląsku. Ich przeznaczenie do dziś dnia jest nieznane: najbardziej prawdopodobna hipoteza mówi o testowaniu przez służby specjalne Trzeciej Rzeszy nowego sposobu archiwizowania dokumentów (fotografie są przeważnie kiepskiej jakości). W środowisku eksploratorów krążą pogłoski o tajemniczych zbiorach kryształków i udziale Niemców w poszukiwaniach tychże... Podobno sporą ilość kryształków zgromadzili Rosjanie.

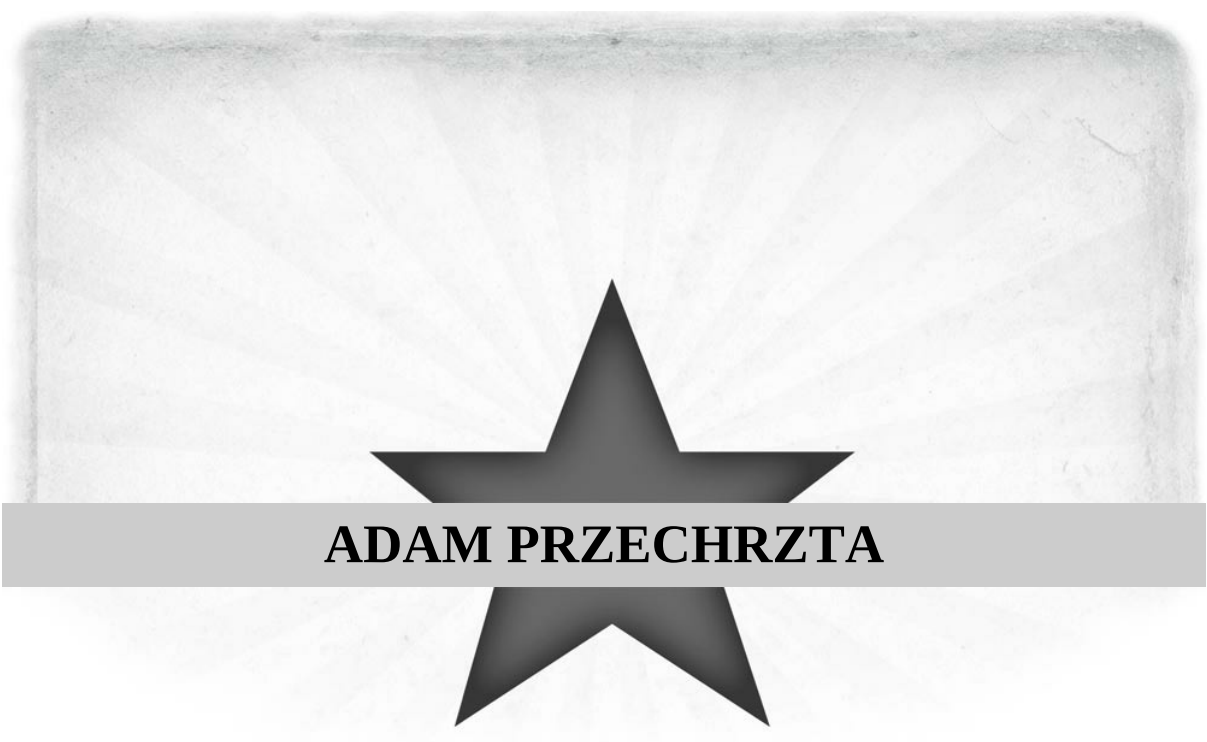
Kolberg – film pod tym tytułem powstał pod koniec II wojny światowej na zamówienie ministra propagandy Josepha Goebbelsa. Wyreżyserował go znany z realizacji propagandowych projektów dla nazistów Veit Harlan, autor słynnego antysemickiego obrazu „Żyd Süß”. Jego treść bazowała na wydarzeniach z okresu wojen napoleońskich, kiedy to pruscy żołnierze z pomocą mieszkańców Kołobrzegu stawili opór potężnej armii francuskiej. Wymowa filmu była jasna: armia niemiecka i Volkssturm odeprą atak wroga... Była to jedna z ostatnich produkcji Trzeciej Rzeszy. Mimo gigantycznych, jak na owe czasy, sił i środków zaangażowanych w projekt (film kosztował ponad osiem milionów marek, a dla scen batalistycznych wykorzystywano całe jednostki Wehrmachtu, mimo rozpaczliwej sytuacji na froncie) nie odegrał on większej roli. Premiera miała miejsce 30 stycznia 1945 roku (w dwunastą rocznicę dojścia Hitlera do władzy) jednocześnie w obleganym przez aliantów porcie La Rochelle i Berlinie. Dostarczono go też i do ogłoszonego twierdzą Wrocławia.

Żelazny byk ryje ziemię – jedno z ćwiczeń „żelaznej dłoni”. Wbrew powszechnym wyobrażeniom sztuka „żelaznej dłoni” obejmuje nie tylko trening utwardzania powierzchni uderzeniowych, ale i bardzo skomplikowane praktyki

bazujące na chińskim systemie meridianów i punktów witalnych. Niektóre z ćwiczeń noszą dość wyszukane nazwy.

Kikko gaeshi – „wywrócenie żółwia”, autentyczna technika Fudo Chishin-ryu *hakuda*. *Hakuda* to system podobny do *jujutsu* (niektórzy eksperci sądzą, że wręcz tożsamy z tą sztuką). Na tle starych, bojowych (a więc dążących do fizycznej likwidacji, a nie obezwładnienia przeciwnika) szkół *jujutsu* charakteryzował się wyjątkową „twardością” i upodobaniem do *atemi* (uderzeń w żywotne punkty ciała).

Riese – podziemny kompleks (*Riese* niem. „olbrzym”) usytuowany w Górach Sowich. Prace nad projektem „Riese” rozpoczęto po alianckich bombardowaniach z 1943 roku. Obejmowały one okolice zamku Książ oraz podziemne konstrukcje w Górach Sowich. Ich przeznaczenie do dzisiaj pozostaje zagadką: mówi się o przetwarzaniu rudy uranu, tajnych laboratoriach i schronach. Podziemia „Riese” zostały zbadane tylko w niewielkim stopniu: wejścia do wielu obiektów wysadzono w powietrze lub zatopiono tuż przed końcem wojny. O wadze, jaką przywiązywali Niemcy do tego projektu, świadczą ogromne środki przeznaczone na budowę kompleksu „Riese”. Przy jego budowie zginęło wielu więźniów (przeważnie Żydów).



ADAM PRZECHRZTA

Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał sześć powieści oraz tom opowiadań. Na koncie ma nominację do Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego w 2014 roku za „Gambit Wielopolskiego”. Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.

Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się:

1. Pierwszy krok
2. Chorągiew Michała Archanioła
3. Wilczy Legion
4. Białe noce

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzt
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., 2014

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-986-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE Matej Toman

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.p.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

ADAM PRZĘCHRZTA

DEMONY WŹJNY

Festung Breslau. Druga część doskonałej kontynuacji *Demonów Leningradu*

Trwa jedna z ostatnich bitew II wojny światowej w Europie, Festung Breslau spływa krwią w kleszczach najpotężniejszej armii świata. Pułkownik Razumowski przybywa do miasta w poszukiwaniu dokumentów o niezwyklej wadze, ukrytych na rozkaz samego Himmlera.

Stalin kolejny raz stawia na rywalizację między wywiadem wojskowym a NKWD, tyle że Beria nie przywykł grać uczciwie, tym bardziej że stawka jest wysoka: III Rzesza dogorywa, lada moment dotychczasowi sojusznicy zetrą się w bezwzględnej walce o panowanie nad światem. O wyniku tego starcia może zadecydować archiwum Himmlera, dlatego nikt nie ma zamiaru przestrzegać zasad ani okazywać litości przegranym...



Polub nas na
facebooku



fabrykaslow.com.pl



Wyłączny
dystybutor



Patroni medialni



konflikty.pl
portal historyczno - militarny



KAWERNA



Spis treści

Karta tytułowa	3
Cykl wojenny Adama Przechrzty	4
Rozdział pierwszy	5
Rozdział drugi	28
Rozdział trzeci	29
Rozdział czwarty	30
Rozdział piąty	31
Rozdział szósty	32
Rozdział siódmy	33
Rozdział ósmy	34
Rozdział dziewiąty	35
Rozdział dziesiąty	36
Posłowie	37
Adam Przechrzta	44
Nakładem naszego wydawnictwa ukazały się	45
Karta redakcyjna	46
Okładka	47